TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 24. *Chicago, Ills., 10 Grudnia, 1885 r.* Rok II.

OPOWIADANIA
JMĆ PANA WITA NARWOJA,
ROTMISTRZA KONNEJ GWARDYI KORONNEJ.

A. D. 1760 – 1767.

— SPISAŁ —

WŁADYSŁAW ŁOZINSKI.

(Ciąg dalszy.)

Owo takim przystojnym kształtem około godziny 9-tej zrana do Lwowa przybyliśmy. W Polsce rzadki bywał żołnierz, więc kiedy go się gdzie więcej zjawiło, to wielki to już spektakuł bywał do populacyi; dla tego też przed miastem mnogo gawiedzi na nas czekało, naszym paradnym szykiem, a bardziej tarabanem i kotłami się delektując. Wyszło też naprzeciw nas kilku oficerów garnizonu lwowskiego, i tak wprowadzono nas do miasta jakoby w tryumfie jakim, bo to na wiosnę było, a dzień był pogodny a ciepły.

Na rynek przyjechawszy, stanąłem, chorągiew w szyk ustawiłem, czekając aż pan generał Korytowski się pokaże. Nadeszła też zaraz starszyzna, pan generał Korytowski, pan generał Grabowski i pan starosta Kicki; był też z nimi i pan generał-major Witte, komendant Kamieńca Podolskiego, bo właśnie na krótki czas do Lwowa był zjechał — oddałem honory, rapor-

tując się po regulaminie. Odbył pan generał Korytowski lustracyę, odebrał regestr chorągwi, zrobił rachunek głów i inwestygacyę — a potem kazał mi kilka handgryfów i obrotów chorągwi zaprezentować. Żem miał żołnierza ćwiczonego, więc sprawnie się produkowałem, tak że pan generał Korytowski ze zdziwieniem a ukontentowaniem patrzył, a bardzo mi dziękował, chwaląc i winszując, jako moja chorągiew przed żadnym hetmanem i marszałkiem wstydu by nie zażyła.

Taka pochwała bardzo mnie ucieszyła i wysoce ją sobie ceniłem, albowiem pan generał Korytowski rzeczy militarnych znawca wielki i sam żołnierz był dystyngowany, jako iż żadnym generałem słomianym ani też krawieckiego patentu nie był, ale rangi się swej applikacyą i zdatnością rzetelną dosłużył, a niegdy przez długie lata w gwardyi króla pruskiego do sztuki wojowniczej się zaprawiał. Cenił też sobie bardzo oficerów, co praktykę w cudzoziemskiej dyscyplinie militarnej odbyli, i rad był, kiedy mu się który z nich pod komendę dostał; jakoż i mnie to ukontentowanie swoje wyraził, mówiąc:

— Witam Waszmości z szczerego a koleżeńskiego serca tu we Lwowie, a cieszę się bardzo żeś mi się tu Mości rotmistrzu dostał, bo na rękę mi bardzo będziesz. Jużem się był mocno tego obawiał, by cię mnie kto inny nie porwał, bo nie wiem czy wiesz Waćpan, jako do służby polskiej wstąpił generał-major pan Coccei, mój dobry przyjaciel i niegdyś towarzysz z gwardyi pruskiej, który teraz pewnie w Warszawie komisyi wojskowej i Królowi Jegomości głowę suszy, że mu tak dobrze aplikowanego oficera, jak Waćpan, z pod samego nosa wzięto, a tu na Ruś wysłano.

Ja mu na to.

— Czy tu na Rusi, czy też pod bokiem Króla Jegomości w Warszawie, zawsze ja Rzeczypospolitej służyć będę, a kiedy już taka osobliwa łaska JWpana generał-majora, że mnie ponad zasługi moje uznaniem swojem honorujesz, to niechże JWPan generał-major za szczere a rzetelne zapewnienie żołnierskie to bierze, jeśli powiem, jako się tem szczycę i raduję, że pod komendę tak światłego generała przechodzę, za jakiego JWPan słusznie w całym kraju uchodzisz.

Po takowej wymianie grzecznych komplementów, pan generał nas wszystkich oficerów do siebie na pojutrze na obiad zaprosił, poczem ja zaraz hauptwach w ratuszu żołnierzem moim obsadziwszy, na kwaterę swoją się udałem. Dużobym o Lwowie i o mojem żołnierskiem życiu w tem mieście mógł opowiadać, ale na potem to sobie zachowuję, nie chcąc już przerywać tej oto naracyi, którą o owym czarnym kawalerze, grafie Zapatanie rozpocząłem.

Kiedy w dniu mego przymarszu do Lwowa wyszedłem z Aksamickim na miasto, aby się w niem trochę rozpatrzeć, a Zawejda nas wodził, bo je znał z dawniejszych jeszcze czasów, spotkaliśmy ku naszemu niemałemu zdziwieniu Zapatana. Wychodził on właśnie z kamienicy narożnej rynku, gdzie mieszkał pan wojewoda pomorski Łoś, do którego, jak się później dowiedziałem, z wizytą jeździł. Czekała na niego kolaska czarna w czwórkę wronych koni dobranego toku uprzężona, z dwoma murzynami na koźle. Wszystko takie było czarne jak i sam pan; bo na całym prawie powozie i uprzężu jednego guzika nie było świetlistego, chociaż wszystko było i galantowne i bogate; szory aksamitne czarne, jedwabne zaplotki, róże, fioki i lejce takoż czarne, chociaż z najprzedniejszego materyału i najmodniejszego kształtu.

Sam Zapatan ubrany był tak samo jak w onej rawskiej gospodzie, z tym brylantem i przy tej samej szpadzie, jeno na piersiach miał jakowąś gwiazdę niewiadomego mi orderu. Ujrzawszy nas, przywitał się z nami lekkiem pochyleniem głowy, a myśmy mu także pokłon oddali, tylko Zawejda minę marsowo nasrożył i wąsa butnie z zawadyacka podkręcił jakby mu owego wina jeszcze żadną miarą przebaczyć nie mógł. Aksamicki aż pobladł jak go zobaczył, i aż mu się oczy zaiskrzyły; gdyby się nie był nas wstydził, byłby pewnie za nim pieszo pobiegł.

Ale już zaraz na drugi dzień Aksamicki dowiedział się, że ten Conte Zapatan we Lwowie dłużej mieszkać będzie, i że za miastem niedaleko pałacu księcia Jabłonowskiego wynajął sobie duży stary dom, co do jurydyki panów Kalinowskich należał, a od długich czasów stał pustkowiem. Mówił mi także Aksamicki, że z takiej rzadkiej a szczęśliwej okazyi koniecznie korzystać i tego niezwykłego człowieka poznać musi, albowiem najmocniej jest przekonany, że to musi być wielki jakiś mistrz magii

i alchemii. Ja mu na to perswadować począłem, aby sobie rozmaite bezbożne gusła raz przecie z głowy wybił, jako iż to statecznemu oficerowi i katolikowi nie przystoi, i aby znajomości takich nie szukał, bo ten Zapatan albo magnat wielki, albo większy jeszcze jest szalbierz, a czy tak, czy tak, dla niego stosownym towarzyszem być nie może.

Ja swoje, on swoje, a tak dałem mu pokój. Na trzeci dzień przypadał ów obiad, na który nas pan generał Korytowski łaskawie inwitował, więc też wszyscy stawiliśmy się na godzinę, a nawet wcześniej trochę, jak to ludziom, *subalterne* będącym, należy. Rozprawialiśmy jakiś czas z panem generałem o rzeczach militarnych, w czem i pan komendant Witte uczestniczył — aż nareszcie zgromadzili się i inni goście. Był tam i pan kasztelan Morski, i pan kasztelan Siemianowski, pan starosta kołomyjski Chołoniewski, i pan starosta lwowski Kicki, i wielu innych znakomitej dystynkcyi panów i dygnitarzy, bo to był czas kontraktowy, więc szlachty było mnogo we Lwowie z najdalszej nawet Polski.

Kiedy już prawie wszyscy byli, ozwał się pan generał Korytowski:

— Będziemy tu mieli dziś jeszcze jednego gościa, dziwnego człowieka, którego we Lwowie czarnym kawalerem zowią. Przybył tu do Lwowa jakiś hrabia Zapatan, Włoszyn czy Hiszpańczyk, już tego nie wiem, ale figura bardzo dziwna i tajemnicza, istnie enigma chodzące. Odnajął tu sobie dom stary za miastem, który przedtem jako cekauz garnizonowi służył, i tam chce jakiś czas mieszkać.

— Był też i u mnie — ozwał się na to p. Józef Mniszech, starosta sanocki — a nie wiem co o nim mniemać. Najłacniej pono będzie to awanturnik jaki a szarłatan, bo ich się też mnogo kręci po Polsce; może jaki różokrzyżowiec lub też alchemik, co złoto warzy z cudzych dukatów.

Poczęli teraz wszyscy o nim mówić, bo wszyscy już go widzieli albo coś o nim słyszeli, choć dopiero dzień czy dwa we Lwowie bawił; jeden za nim, drugi przeciw niemu. Każdy się dziwił, po co by tu przyjechał; jedni mówili, że pewnie na kieszeń łatwowiernej szlachty zagiął parol, drudzy, że to pewnie mistrz wielki wolnomularski, co przyjechał tu Oryent zakładać, inni znowu, że to kartownik jakiś, co z bankiem szulerskim wojażuje — ale nikt nic pewnego o nieznajomym cudzoziemcu nie wiedział.

Kiedy tak mówimy o nieznajomym, bo i ja do dyskursu się wmięszałem opowieścią o przygodzie w Rawie, widzimy nagle, że Zapatan jest między nami, jakby z pod ziemi wylazł, bo nikt go wchodzącego nie widział, ani też kroku jego nie słyszał. Zaraz też począł rozmawiać żywo i swobodnie, jakby nas znał wszystkich Bóg wie jak dawno, a mówił każdym językiem, jakiego kto pożądał: po francuzku, po włosku, po niemiecku, po łacinie, a nawet po polsku trochę się wyrażał.

Zasiedliśmy do stołu, i wtedy zauważyłem, że Zapatan żadnej potrawy się nie tknął nawet. Jakoż i teraz i potem, przez cały czas pobytu tego dziwnego cudzoziemca we Lwowie, nikt go nigdy nie widział jedzącego, a komuś co go o racyę takowej wstrzemięźliwości pytał, tak odpowiedział:

— Tego, co wy jecie, ja nie chcę, a tego, czem ja się żywię, wybyście pewno nie jedli....

Pan starosta Mniszech, znawca i amator wielki klejnotów, nie spuszczał z oka dużej, przedziwnej szpinki brylantowej Zapatana, i nie mógł tego przenieść, aby mu tego komplementu nie powiedzieć, że takowej wielkości i czystości kamienia nie zdarzało mu się widzieć, i że niechaj mu wybaczy, iż tak tę osobliwość ogląda, bo się jej naadmirować nie może. W końcu zapytał go jak sobie tę szpinkę ceni?

Zapatan uśmiechnął się tylko i odpowiedział, że nie wie, bo ją darunkiem dostał. I nuż pocznie opowiadać cudowną historyę, jakim kształtem on w posiadanie tego brylantu doszedł, jakie mu bajeczne fortuny rozmaici monarchowie Europy, a między innymi i Padyszach Jegomość ofiarowali, i jakie są kabalistycne i czarodziejskie tego klejnotu cnoty.

Owoż prawić począł, jako on przed trzydziestu laty poznał się w Persyi z Nadyr-Szachem czyli Kuli-Kanem, owym sławnym księciem, o którym takowe cudowne historye sobie w moich czasach opowiadano, jako z tym Nadyr-Szachem odbywał wojnę przeciw Wielkiemu Mogułowi Indyi, jako w stołecznem mieście Delhi cały ów nieprzebrany skarbiec drogich kamieni zdobyto, z pomiędzy których on tę szpinkę od Kuli-Kana na pamiątkę otrzymał. Potem jeszcze cudowniejsze nam rzeczy opowiadał, a takie dziwne i niesłychane, że chybą

w bajkach je napotkać można, a owo mimo to wszyscy przecie słuchaliśmy tych narracyj z największą pożądliwością, jedzenia i picia zapominając, bo taka była moc dziwna i urok czarodziejski jego opowieści, że ucha oderwać nie było można, i chociażeś czuł, że to niepodobieństwem jest i prawdą być nie może, przecież tak cię ów Zapatan na uwięzi trzymał, żeś na to nie baczył. A tak cudowną miał siłę wysłowienia, że zdało ci się, jakoby słowami swemi malował, i jakobyś wszystko to przed sobą widział, o czem on wspomina.....

Daremnie bym się kusił wszystko a choćby część maluczką tych dziwnych baśni powtórzyć, bo mi z tego zaledwie takie pozostało wspomnienie, jakoby ze snu i rozkosznego i ciężkiego zarazem, bo trzeba wiedzieć, że opowieść Zapatana to raz była miłej i wdzięcznej treści, to znowu jakieś straszliwości zawierała, a według tego i głos jego się zmienił i nieprzyjemnie a ostro po uszach skrobał, zgrzytając przenikliwie. Naraz przerwał swe opowiadanie, i porwawszy się szybko, do koła się wszystkim ukłonił i znikł za drzwiami. Ani czuliśmy, jak długo słuchaliśmy tego niepojętego człowieka; dopiero gdy wyszedł, ów dziwny urok z nas opadł, i dopiero teraz zauważaliśmy, że już dobrze ciemno było w pokoju, a zegar ósmą godzinę wskazywał.

Od tego czasu w całym Lwowie o nikim prawie nie mówiono, jak tylko o grafie Zapatanie, zamorskim akimś kawalerze, dziwnym, tajemniczym, a niesłychane sekreta nadnaturalne, lekarskie i czarodziejskie posiadającym. Wprawdzie nikt nie wiedział, co zacz był ten Zapatan, zkąd przybył i dokąd jedzie — ale to jeszcze bardziej jednało mu ciekawość i uwagę wszystkich.

Jedni mówili, że to jest nie kto inny, ale sam ów hrabia Federigo Gualdi Weneta, co znał sekret przyrządzania *aurum potabile*, i zapomocą tego cudownego środka 400 lat już żyje na świecie, inni że to adept magiczny, co przyjechał szukać w Polsce owego skryptu na dwanaście pieczęci zamkniętego, który niegdy przed blizko dwustu laty słynnemu czarnoksiężnikowi polskiemu, Sędziwojowi, dwaj posłowie z Persyi przynieśli, a który najcudowniejsze magiczne arkana w sobie zamykał; a znowu inni, że to jest mistrz jakowejś farmazońskiej loży tajemnej, co tu zjechał, aby na sławnego w onym czasie węgierskiego grafa Zobora czekać, który to graf Zobor, pan niesłychanej fortuny, w alchemię i magię zabawiać się lubił.

Zgoła wierutne dziwy opowiadano sobie o nim po mieście, pół prawdy a pół fałszu, jak to zwykle bywa. Ale to przyznać muszę, że nieznajomy „czarny kawaler” wiele podziwienia wzniecił kuracyami swemi cudownemi, a choć go eskulapy lwowskie okrzyczały szarłatanem, przecież on wielu chorych, których już chirurgowie porzucili, na desperacyę ich i na łaskę Bożą zostawując, kilku kroplami jakowegoś czerwonego lub znowu złotawego płynu nietylko od niechybnej śmierci salwował, ale i do zupełnego zdrowia przywrócił.

Za kartownika też go wziąć nie można było, bo raz tylko kart się dotknął, i jakby na pokazanie swego pańskiego kaprysu, wielką sumę przegrał i złotem wypłacił. Fortunę zdawał się mieć ogromną, bo bywało złoto wyrzucał pełnemi garściami, na wszystkie strony, lekkomyślnie pieniędzmi szafując. Dziwne też, czarodziejskie sztuki pokazywał, jakby drugim mistrzem Twardowskim był i nadnaturalne arkana posiadał. Raz kilka znakomitych osób do owego pustego domostwa czyli cekauzu, który był najął, zaprosił na ucztę, o której długo potem jakby o cudzie jakim opowiadano. Odzywała się podczas tej uczty najwdzięczniejsza muzyka, jakby powietrze samo grało, bo ani muzykanta ani instrumentu żadnego nikt nie widział, paliły się blaskiem niewidzialnym brwiste światła i lampy, spływały wonności i aromata rozkoszne, a najprzedniejsze potrawy i najprzedziwniejsze wina i likwory podawano w obfitości. Opowiadano, że przy świadkach niewiernych szelążek miedziany w najszczersze złoto przy kominku przemienił, i to nie u siebie w domu, ale u p. Wielhorskiego, a dwóch znanych kawalerów ze stanu magnackiego przy mnie zapewniało, że gdy raz u niego byli, a o duchach się zgadało, on ich do komnaty czarno obitej zaprowadził, jakoweś kadzidła i lampę zapalił, a szpady swojej dobywszy, niezrozumiałemi zaklęciami okropne straszydła i mary na widok wywołał, tak, że ich groza i lęk okrutny przejęły, i obaj w dreszcz i pot zimny jakby w febrę popadli....

Ja tego wszystkiego choć się nasłuchałem dużo, rozumem moim nie dochodziłem, ani też o tem wiele nie myślałem, siła kłopotu i trudu

w mojej funkcyi żołnierskiej, gdy do wszystkiej pracy, którą około własnej chorągwi miałem, włożył na mnie pan generał Korytowski jeszcze i to, że mnie instruktorem a wice-komandyerem całego garnizonu lwowskiego nominował, sam sobie tylko kontrolę zostawując. Mój Aksamicki tymczasem, jako pragnął tak i zrobił, i snać się z tym czarnym kawalerem zaprzyjaźnił, a ciągle do niego biegał, nieraz tam całemi nocami przesiadując. Daremnie go przestrzegałem, nic wszystko nie pomogło, i przeczuwałem że takowa przyjaźń na dobre nie wyjdzie. Jakoż zmienił się chłopiec ogromnie; z wesołego towarzysza stał się frasobliwym a ponurym; bywało dniami do nikogo słówka nie przemówi, a w kwaterze swojej się zamyka. Jak dawniej zawsze pilnym a statecznym był oficerem, tak teraz w aplikacyi się zaniedbał, służbę źle pełnił, a ja, com w nim pierwej miał trzecią rękę i pomoc prawdziwą, strofować go teraz musiałem.

Frasunku mi ten Aksamicki wiele przyczynił, bo gdyby mi nie był przez ojca jak starszemu bratu rekomendowany, i gdybym go też prawdziwie braterskim affektem nie miłował, jużbym był snadno radę znalazł na niego, i szukałbym nań sposobu nie w sercu i przyjaźnych sentymentach, ale w animadwersyi artykułów wojskowych. Ale tak srogim dla niego być jakoś nie umiałem — i do dziś dnia tego żałuję.

Przykrością mię to zdjęło, że Aksamicki nietylko z dobrego oficera w opieszałego, ale i z dobrego katolika w niedowiarka się zmienił. Uważałem ze zgorszeniem i smutkiem prawdziwym, że do kościoła nietylko sam nigdy już nie chodził, co dawniej zawsze czynić był zwykł, ale nawet w niedziele i święta swój pluton, jak po ordynansie należało, nierad do kościoła wodził. Wielkanocnej spowiedzi też nie odbył, i chorągwi całej zgorszenie, mnie zaś frasunek i wstyd sprawił.

Za wiele mi już w końcu tego wszystkiego było, i już mi ani sumienie moje, ani wzgląd sprawiedliwy na rygor wojskowy nie pozwalały, cierpieć to i militarnym uchybieniom w służbie pobłażać. Nakazałem był dnia jednego lustracyę, i cała chorągiew na wskazanym placu stanęła w godzinie oznaczonej, a tylko Aksamickiego brakło. Nieraz to się już tak przedtem było zdarzało, alem to płazem puszczał, tym razem atoli to już ze sposobności korzystać a surowość okazać postanowiłem. Jakoż po skończonej lustracyi posłałem do jego kwatery wachmajstra z dwoma dragonami, i aresztować go kazałem, dając forwachtowi ten ordynans, aby go z domu niewypuszczano, aż do mego rozkazu.

Gdy to spełniono, ja chcąc jeszcze dobrotliwego sposobu zażyć, poszedłem do Aksamickiego, trzymanego aresztem na kwaterze, aby z nim po przyjacielsku, a jak brat z bratem pomówić. Wszedłszy do izby, zastałem go piszącego coś na pergaminie wązkiego kształtu, obłożonego do koła najrozmaitszemi księgami, a flakonami, a dziwnemi jakiemiś narzędziami i sprzętami. Gdy mnie zobaczył, porwał się od stołu i skonsternował trochę, z nieśmiałością wstydem mnie witając.

— Panie Aksamicki — ozwałem się na wstępie — jako rotmistrz aresztem Waćpana w kwaterze wziąć kazałem, bo się oficerskiem sumieniem świadczę, żem nie mógł inaczej, i że ty byś sam w podobnym wypadku inaczej sobie nie począł; jako przyjaciel zaś i brat życzliwy sam do Waćpana przychodzę, aby mu kompanii w areszcie dotrzymać. Ale widzę, że nie wiele ci się kompania moja przyda, bo w księgach po uszy siedzisz i jak astrolog wyglądasz. Jakiem że to czytaniem tak miłem Waćpan się zabawiasz, że aż o służbie zapominasz?

Rzekłszy to, poczną oglądać te rozmaite srogie foljały, a uważam przy tem, że się Aksamicki uśmiecha, jakoby we mnie profana niegodnego oglądał. Dziwne to były księgi, a każda miała tytuł zawiły jakoby sfinxowe enigma. Owo na jednej wyczytałem *De quinta Essentia*, na drugiej *Aurora philosophorum*, a dalej były tam takie dziwaczne intytulacye, jak: *Philosophia occulta*, *Thesaurus thesaurorum* i tak dalej. Na stole, przy którym Aksamicki pisał, leżała jakaś okrutna księga czarna czyli *manuscriptum* pargaminowe, najdziwniejszemi charakterami zapisane.

— A owo co za monstrum czarnoksiężkie? — pytam śmiejąc się.

— Gdybyś Mości rotmistrzu wiedział, co jest w tej księdze — odrzekł Aksamicki jakoby obrażony — tobyś się może nie śmiał. Albowiem to jest *Clavicula Salamonis*....

— Jeźli to jest *clavicula* albo *clavis* cudowny — rzekę ja teraz — co nietylko mądrość Salamona, ale i serca otwiera, to bym pragnął

bardzo posiadać go także, abym sobie do serca Waćpana drogę otworzył; bo mi tego bardzo potrzeba. Przychodzę Waćpana raz jeszcze prosić, nie jako starszy ale jako brat i przyjaciel, abyś przecie dał posłuch napomnieniu, i porzucił konszachty z tym nieznajomym człowiekiem, który snać zmysły Waćpana opętał i Boga z serca wygnał. Już ja od długiego czasu Waćpana nie poznaję; nie ten to Aksamicki, którememum z duszy zawsze rad był i sprzyjał.

On nic nie odpowiadał na to, ale w zatwardziałem milczeniu siedział, uśmiechając się tylko.

— A co do owego Zapatana — mówię dalej — to bodajby był gdzie kark skręcił po drodze nim go na Waćpana licho przyniosło, bo choć Zawejda człek przesądny jest i nie bardzo uczony, to bodaj czy racyi on nie ma, że to kuzyn jest Lucyfera.... Powiedz mi Waćpan, ku czemu to idzie i w co to godzi? Wdajesz się Waćpan w praktyki nieczyste, w jakowąś magię czy alchemię, albo ja wiem, co w tem jest— ale to pewna, że kusząc się tako nad przyrodzoną mądrość, swój własny przyrodzony rozum postradasz, a na to jeszcze wyjdzie, że Boga się wyrzeczesz i wiary świętej.... Jam nie uczony ani filozof, o tem Waćpan wiesz, ale...

Tu Aksamicki mi przerwał, nie dając skończyć.

— Wiem, wiem — ozwał się ze śmiechem, jakby się ze mnie urągał — i dla tego nie o swojej rzeczy rozprawiasz, rotmistrzu! Dajmy chyba pokój!

Takowa pyszna odpowiedź rozgniewała mnie, więc wstając, surowo się ozwałem:

— Dobrze! Dajmy chyba pokój, Mości panie Aksamicki! — Dziękuję Waćpanu, żeś mnie zreflektował, teraz to już o swojej rzeczy mówić będę. Owoż słuchaj Waćpan, ale bez śmiechu i przekwintów, a przeciwnie z subordynacyą, bo nie mówię już teraz ani jako filozof, ani jako przyjaciel — ale jako komendant Waćpana. Żeś Waćpan zły przyjaciel to rzecz jest między Aksamickim a Narwojem, żeś Waćpan zły katolik, to rzecz jest między Aksamickim a jego sumieniem, ale żeś Waćpan zły oficer, to rzecz jest między subalternem a rotmistrzem. Słuchajże Waćpan, panie oficerze! Tym razem niechaj na areszcie pozostanie, ale na przyszłość, pomnij na to, od rygoru nie odstąpię, a przypomnieć Waćpanu potrafię, że krygsrecht egzystuje a artykuły wojskowe mają także walor! Albo więc Waćpan abszyt weź radzę, albo aplikuj się, jak ci przystoi!

— Kto wie, czy się nie stanie po woli Waćpana — odrzekł Aksamicki na to — albowiem, jeźli dziś na lustracyi nie byłem, to dla tego, żem wczoraj od pana generała Korytowskiego urlop miesięczny otrzymał, a jeźli o urlop się wystarałem to dla tego, że po tym miesiącu abszyt sobie wezmę.

— Kiedy tak, to już dobrze — powiedziałem na to — ale zawsze to nie było ani podług przyjaźni ani też podług regulamentu, że Waćpan bez mojej interwencyi i za mojemi plecami urlop wziąłeś, i o to się panu generałowi przymówić potrafię. Mniejsza już o to, należysz Waćpan teraz tylko nominalnie do mojej chorągwi, i dla tego też wartę Waćpanu zdejmuję i wolność zostawiam.

Rzekłszy to szybko wyszedłem, bo gniew i żal kontenans mi odebrały.

Zaraz też przyszedłszy do domu napisałem list do ojca Aksamickiego do Warszawy, donosząc mu, jako syn jego w towarzystwo nieprzystojne się dostał, a z mojej opieki i wojskowej i braterskiej zarazem się umknął, i jako ja teraz wszelką odpowiedzialność za dalszą jego konduitę od siebie odsuwam. Nic więcej uczynić nie mogłem, jak tylko takim sposobem salwować własne sumienie.

Minęło tak ze dwa tygodnie, a przez ten czas nic ani o Aksamickim ani o czarnym kawalerze nie słyszałem, umyślnie nawet wieści o nich unikając. Naraz powiada mi Zawejda, że Aksamickiego wielki spotkał smutek, albowiem narzeczona jego, córka ormiańskiego kupca Wartanowicza, o której już na początku tej powieści wspominałem, a dla której Aksamicki tak rad Warszawę opuścil, bardzo ciężko na gorączkę zaniemogła, tak że już prawie żadnych speransów życia nie ma. Ojciec któremu była jedynaczką, najsławniejszych lekarzy sprowadzał, a chirurg pana wojewody Kijowskiego z Krystynopola, Styrneus, który wielkiej famy zażywał, przez cały czas choroby ani na krok od łoża biednej dzieweczki się nie oddalił.

Wiedziałem dobrze, że Aksamicki najgorętszym affektem i nad życie swą pannę miłował, więc też domyśleć się mogłem, w jakiej boleści a desperacyi znajdować się musi; umyśliłem przeto żal i urazę zapominając, odwiedzić go

w tem smutnem uciśnieniu, ale nigdy go w domu zostać nie mogłem, bo swej chorej narzeczonej, jak mi powiadano, dniem i nocą nie odstępował. Zaraz mi to wpadło na myśl, czemu też Aksamicki w tak ciężkiej przygodzie nie uda się o pomoc do owego Zapatana, w którego naukę lekarską ja sam mocno wierzyłem, ale powiedziano mi, że Zapatan, jakby nieszczęście chciało, znikł gdzieś ze Lwowa i dopiero za tydzień wróci. Aksamicki jak szalony biegał co godzina prawie od chorej do owego domostwa, w którem Zapatan mieszkał, ale cudzoziemca jak nie było tak nie było. Po kilku dniach spełniło się nieszczęście; stało się snać według Bożej woli; biedna dzieweczka umarła...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

DOBRANA PARA.

Pan Marcin był sławetnym obywatelem miasteczka Mikstanowa, i od młodości swej trudnił się szewstwem. Był to w gruncie niezły człowiek, gdyż był pracowitym, chodził pilnie do kościoła, nikomu w drogę nie wchodził — choć miał też nie małą wadę, oto lubił sobie nieraz wypić za wiele dzięgielówki, gdyż pasyami lubił taką wódkę, która zdaniem jego broniła od cholery.

Zupełnie innego usposobienia była pani, a właściwie panna Udawalska. Sługiwała w młodości po dworach i była bardzo piękną, ale przytem też dumną i gardzącą niższemi. Kiedy miała lat 20, byłaby się wydała tylko za księcia lub hrabiego, później gdy już dochodziła do lat 30, chciała jeszcze dziedzica dóbr, sędziego lub lekarza, ale nic z tego, bo jej zarozumiałość wszystkich odstręczała. Zbliżyła się w końcu czterdziestka. Wtedy stała się bardzo pobożną ale więcej dla oka, gdyż w gruncie rzeczy była złośliwą, przykrą a co prawda lubiła bardzo plotki. Choć już ukończyła lat 40, pragnęła jeszcze koniecznie wydać się za mąż. Przez kilka lat starała się o to cichaczem, ale starania były bezowocne. Zbliżył się nakoniec rok 45. Wtedy niewiele myśląc, zwierzyła się z swych kłopotów Mośkowi, który był faktorem. Ten przyrzekł jej wystarać się o kawalera; jakoż niedługo przyprowadził jej pana Marcina, który będąc wdowcem po drugiej żonie, chciał jeszcze trzeci raz zakosztować słodyczy małżeńskich. Co prawda Marcin okazał niemądrość, czyli po prostu popełnił głupstwo, gdyż mając lat 60 i pochowawszy dwie żony, powinien już był nie myśleć o małżeństwie, ale jak powiadają, w starym piecu djabeł pali, tak i nasz pan Marcin powziął wielką ochotę do ożenienia. Zgodził się z wielką ochotą, gdy mu Mosiek w zaufaniu powiedział, że wie o pannie z 10,000 złotych. Przyrzekł zaraz Marcin dać Żydowi 50 złotych jeżeli interes przyjdzie do skutku, a panna Kordula Udawalska ofiarowała nawet 100 złotych, tak się obydwom paliło do małżeństwa.

Skrzywił się pan Marcin, gdy się dowiedział, że ma się żenić z panną Kordulą, gdyż czuł do niej jakąś tajną odrazę, co prawda i panna Kordula była tego samego zdania, tj. nie podobał się jej wcale pan Marcin, gdyż nos miał bardzo czerwony i w ogóle nie miał żadnego podobieństwa do pięknych paniczów, którzy się do niej w czasach młodości zalecali. Przecież wymowny Mosiek umiał ich zachęcić, że nareszcie powzięli zamiar, aby się połączyć ślubami dozgonnemi, pocieszając się przysłowiem, że lepszy rydz jak nic.

Pan Marcin, tak się namyślał nad tem, czy iść, aby się oświadczyć pannie Korduli, czy też nie, lepiej iść na flaki pod „Konika", gdzie sławną dawali dzięgielówkę. Aż palec w usta

włożył pan Marcin, namyślając się srodze nad powzięciem zamiaru stanowczego. Ostatecznie zwyciężyło 10,000 złotych, boć o pannie Korduli wiele nie myślał. Poszedł, oświadczył się i został przyjęty a wkrótce ślub nastąpił.

Co się potem działo? Przypomina mi się następna piosenka ludowa:

Wyjrzyj za okienko jak tam wilczek skacze,
Jeszcze nie ma żony, więc się nie kłopoce.
Wilczysko się ożeniło
Uszyska opuściło,
Au, au, co mi potem było".

Otoż tak samo było z Marcinem, tylko że on chyba starym wilkiem powinien być nazwany, dla tego też ryczał przeraźliwiej. Nie dostał 10,000 złotych, gdyż małżonka jego oświadczyła, że jemu psik do tych pieniędzy, potem napędzała go do roboty, a co najgorsza, nie pozwalała mu chodzić pod „Konika" na flaki i dzięgielówkę. Zaskarżył go żyd o 50 złotych, a pan Marcin nie mógł mu wypłacić, gdyż Kordula mu ich dać nie chciała. Marcinisko wyschło z kłopotów, straciło wesołość, że aż litość brała, gdy się wejrzało na tego człowieka. Tak to zwykle bywa, gdy przy zawieraniu małżeństwa patrzy się tylko na posag, nie na przymioty żony. Mimo to pewnie wam żal biednego Marcina, że już nie może zajadać flaków i zapijać ich dzięgielówką.

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO

CZĘŚĆ PIERWSZA:

ZAMEK CARROW.

(Ciąg dalszy.)

— I znajdę go sir Williamie! — zawołał młodzieniec z tem spokojnem zaufaniem, jakie daje silne przekonanie. — Wdzięczność podoła zwykle zobowiązaniu, jakie się podejmie, bo ona jest najszlachetniejszym popędem duszy, szlachetniejszą nawet niż miłość, bo zupełnie wolną od samolubstwa i namiętności... Nadzieja odwrócenia boleści z serca wuja Elleny, mego wspaniałego dobroczyńcy, natchnie mnie odwagą i wytrwałością. Gdyby mój zapał miał kiedy oziębnąć, gdyby niepowodzenie miało nadwątlić moją energię, dostatecznem będzie przedstawić sobie radość twoją, jak ujrzysz utracone od lat tylu dziecię, aby się na nowo pokrzepić do podwojenia usiłowań. Bóg, który mnie natchnął tą myślą, udzieli mi swej pomocy w dokonaniu tego przedsięwzięcia.

Samotnik kilka razy potarł czoło swą wychudłą ręką. Scena, którą wywołały słowa Henryka, często już przedstawiała mu się w jego marzeniach. Nie raz szaleństwem nazywał tę swoją nadzieję; słysząc ją powtarzaną przez

kogo innego, omal nie uległ zbytecznemu wzruszeniu.

— Przyprowadź go na grób mój, Henryku, a z głębi trumny będę ci błogosławić! Opowiedz mu o moich cierpieniach i mojej miłości, z jaką czułością ojcowską serce moje do niego wzdychało, i że w snach nawet, wszystkie moje myśli nim tylko były zajęte!

— Sir Williamie! — przerwał mu Henryk, — drogi sir Williamie, nie mów o śmierci!

— Mam to przeczucie, że się już nie zobaczymy; ale nie lękaj się, nie zapomnę ani o słusznych prawach mojego syna, ani o twojem szczęściu. Oczekuję za trzy dni mego notaryusza, aby testament przygotować. Z głębi grobu nie przestanę czuwać nad losem tych, których kocham!

— Ale zkądże to smutne przeczucie?... Żyj, sir Williamie, jeżeli nie dla siebie, to przynajmniej dla tych co cię wielbią i miłują, dla biednych, których nędzę twa hojność osładza! Żyj dla miłości syna, aby mu udzielić błogosławieństwa ojcowskiego, aby jego dzieci igrały na twem łonie, abyś ich głos dźwięcznie i czule twe imię wymawiający, mógł słyszeć, abyś ich prowadził na drogę cnoty i w ich młodości obraz twoich lat dziecięcych oglądał!

Odludek smutnie potrząsł głową.

— Złudne marzenia! Henryku! marne widziadła twej bujnej wyobraźni, nic więcej! Nie mówmy już o tem; ale raczej wróćmy do interesu ciebie dotyczącego. Za trzy dni musisz opuścić Anglię.

— Już tak prędko?... Ale daruj! w tej chwili myślałem tylko o Ellenie, a nie o moim dobroczyńcy; serce zawsze jest trochę samolubnem.

— Mój synowiec pojedzie z tobą. Mam wynagrodzić pewną niesprawiedliwość, którą mu wyrządzałem; widzę, że jest godnym imienia i majątku, który niezawodnie kiedyś po mnie w spadku otrzyma, — rzekł sir William z westchnieniem. — Czas, aby zobaczył świat, aby wszedł w stosunki z ludźmi, zamiast marnować wiek młody wśród nieużytecznego, próżniaczego życia w modnych salonach, gdzie serca są jak grobowce pobielane, gdzie ludzkość wdziewa maskę, aby pokryć swą brzydotę moralną. Z radością to uważam, żeście się zaprzyjaźnili; właśnie też to jego szlachetne i szczere zachowanie się względem ciebie, najpierwiej mnie ujęło dla niego.

Baronet z uśmiechem zadowolenia słuchał ognistej pochwały Henryka, z jaką mówił o przymiotach Waltera. Jak większa część młodzieży, nie zepsutej przez społeczeństwo, młody Ashton pełen był zapału tak w przyjaźni jak i w miłości.

Następnie sir William oznajmił Henrykowi, że na imię jego i Waltera umieścił znaczne sumy w banku.

— Używaj ich, — dodał, — równie jak mojej przyjaźni, niczego więcej nie żądam!

— Już tylko trzy dni! — szeptał kochanek Elleny, wychodząc z biblioteki po skończonej rozmowie z baronetem; — tylko trzy dni, aby rozstać się z Elleną, pożegnać przyjaciół, i dowiedzieć się jeżeli to być może, kto jest ten człowiek tajemniczy, którego zowią Khanem, i czyli istnieje jaki związek między mną a nim.

Przechodząc dziedziniec aby pospieszyć do Elleny i Waltera, znajdujących się na brzegu jeziora, spotkał starego Marcina. Od dnia, w którym Henryk uratował życie młodej sieroty, młodzieniec wzrastał coraz bardziej w łaskach starego sługi, którego życzliwość, czy się tyczyła ludzi czy koni, rzadko kiedy w słowach się objawiała; starzec skąpił niezmiernie wszelkich wynurzeń tego rodzaju.

— Marcinie! pragnąłem bardzo widzieć się z tobą, — rzekł młodzieniec.

Krótkie mruknienie było całą odpowiedzią starego.

— Jestem przekonany, — mówił dalej Henryk, — żeś odkrył nazwisko tajemniczego przybysza, któregośmy w kościele spotkali.

Starzec badawczo patrzał z pod swych krzaczastych brwi na pytającego, nim się zdobył na odpowiedź.

— A przypuściwszy że tak jest, master Harry, cóż ztąd wynika?

— Zapewne nie zechcesz dla siebie samego zachować to odkrycie?

— Przechowałem ja w tajemnicy rzecz nie jedną, o której się nikt nie domyślał, aby mi była wiadomą. Jest to postępowanie przezorne i mądre, które zapobiega wielu złym następstwom.

— Jakież złe mogłoby wyniknąć z tego, żebym odszukał mego ojca?

Zadziwienie, z jakim masztalerz spojrzał na

naszego bohatera, było tak prawdziwe, czyli tak dobrze udane, że Henryk nie wątpił, przynajmniej w tej chwili, że jego podejrzenia były bezzasadne.

— Twój ojciec! — powtórzył stary z przytłumionym śmiechem, — ah! ah! zkąd ci znowu ta myśl przyszła do głowy, master Harry? Nie! nie! jakkolwiekby był złym człowiekiem, ten cudzoziemiec nie może być twoim ojcem, choć ja to sam myślałem z razu...

— Myślałeś to także?

— Tak jest; ale gdym usłyszał, że on twemu życiu zagrażał za to, żeś zranił tego paniczyka, za którym indyjska niańka miss Elleny prawie przepada, powiedziałem sobie natychmiast, że on nie jest twym ojcem; toby coś było przeciwnego naturze. Ale zobaczymy! Dziwne rzeczy będą się jeszcze działy w starem gnieździe Mowbray'ów.

— Jakież to dziwne rzeczy? — nie rozumiem ciebie!...

— Gdybym był mniemał, że mnie pan rozumiesz, byłbym powstrzymał język... Nie sądzisz, master Harry, że te zdarzenia tyczą się ciebie?

Henryk patrzył na niego zdumiony.

— Nie, nie przypuszczasz pan tego, — mówił dalej Marcin — jakżebyś to pan mógł sądzić? Ale powiadam, że wydarzą się dziwne rzeczy. Oto już przez kilka razy słyszę jęki w starem Opactwie; konie w stajni są niespokojne zupełnie tak, jak to było przed śmiercią stryja sir Williama. Co najdziwniejsze, to ta okoliczność, że ja zostałem wybrany do odegrania roli w tych wypadkach!

— Ty, Marcinie?

— Śmiej się jak chcesz, master Harry, ale powtarzam, że tak jest. Dla czegożby Mowbray'owie tak długo mnie w służbie cierpieli, kiedy wiadomo w całej okolicy, że jestem zrzędą z całego hrabstwa?

— Jeszcze raz mówię, że cię zupełnie nie rozumiem.

— Bardzo temu wierzę; ale się zaraz jaśniej wytłomaczę. Jak się nazywa ta roślina? — zapytał wskazując na aloes amerykański, rosnący w jednym z wazonów ustawionych rzędem wzdłuż drogi przerzynającej podwórze zamkowe.

— To jest aloes, — odpowiedział młodzian.

— Otóż ja jestem jak ten krzew, który raz na sto lat zakwitnie, a potem ginie, — mówił dalej starzec. — Liście jego są niezgrabne, i ostremi kolcami ranią rękę, która ich dotknie. Moje szorstkie obejście podobne jest do tych kolców. Ale na podobieństwo aloesu, wydam kwiat wdzięczności nim ten stary pniak zgnije w grobie i w zapomnienie pójdzie!

— I cóż będzie z tym kwiatem? — zapytał Henryk z uśmiechem, zdziwiony tem porównaniem wyszłem z ust człowieka wcale niepoetycznego.

— Będzie to przysługa wyświadczona szlachetnej rodzinie, której chleb jem od tak dawnego czasu! — odrzekł dziwny staruszek; — nie mógłbym umrzeć spokojnie, gdybym się nie odwdzięczył za odebrane od niej dobrodziejstwa!

Nie minęła jeszcze godzina od czasu rozmowy baroneta z Henrykiem, gdy mistress Jarmy weszła do biblioteki, oznajmując swojemu panu, że dzierżawca Ashton przybył do zamku w chęci widzenia się z nim.

— Wprowadź go natychmiast! — rozkazał sir William, wyobrażając sobie, że może ten zacny gospodarz ma jakie żądanie dotyczące dzierżawy. Rzadkie to było zdarzenie, aby który z jego dzierżawców posłuchanie otrzymał, ale stryj Henryka nie mógł być z niczem odprawiony.

Wchodząc do komnaty, poczciwy rolnik miał minę tak zafrasowaną, że domysły sir Williama zdawały się nie być płonne; nie wątpił, że Ashton ma jakąś do niego prośbę. Przypuszczenia te zupełnie były mylne. Zresztą folwark był mu wypuszczony pod warunkami najrzetelniejszemi.

— Siadaj, panie Ashton, — rzekł sir William wskazując mu najbliższe krzesło obok swojego. — Dawno już, bardzo dawno temu, jakeśmy się widzieli!

— Już tak dawno, — odparł przybyły, — żem się spodziewał... to jest... myślałem, że wielmożny pan o tem zapomniał.

Rumieniec wystąpił na twarz magnata. Uwaga jego wyrzeczoną była bez myśli, bez przypomnienia sobie żadnej daty. Dopiero odpowiedź Ashtona przywiodła mu na myśl, że kiedy ostatni raz z sobą mówili, było to w czasie jego ożenienia się, gdy Maciej, jako najstarszy dzierżawca w dobrach jego, winszował mu w imieniu całej włości.

— Ach prawda! — szepnął, — już dużo

lat temu! Od tego czasu nie jedną widzieliśmy zmianę.

— Przyszedłem podziękować panu za łaskawe względy dla mojego Henryka, — rozpoczął kmieć, chcąc odwrócić uwagę baroneta od tych bolesnych wspomnień. — Dobry z niego chłopak, bardzo dobry, ale...

Tu zatrzymał się niby zakłopotany jak dalej mówić.

— Ale co? mów śmiało, panie Ashton. Bratanek twój jest młodzieńcem, któremu nietylko wiele zawdzięczam, ale do którego bardzo się nawet przywiązałem.

— Otóż to właśnie w tem polega całe niebezpieczeństwo!

— Niebezpieczeństwo? chciej się wytłómaczyć.

— Daruj mi co powiem, sir Williamie. Wiadomo panu, ile poważam i kocham nazwisko Mowbray'ów, i to dla słusznych przyczyn. Moi pradziadowie od blizko trzech wieków żyli na ich gruntach, a jeżeli się trafił nieurodzaj, mór bydła lub inna klęska ich dotknęła, znajdowali zawsze współudział i pomoc u swoich litościwych panów.

— Ależ nie to pana dziś sprowadza!

— Przyjdę do tego zaraz, sir Williamie. Gdybym wziął młodą i silną krzewinę w polu i trzymał ją w cieplarni twojej, sir Williamie, jakiby ztąd był skutek?

— Rosłaby tam wyśmienicie, zdaje mi się.

— To się rozumie. Ale gdybym później znowu ją na pole przesadził? Przymrozki ranne zwarzyłyby jej liścia i kwiat, i wkrótceby zniszczała, nieprawdaż?

Ostatnie słowa tego porównania domówił drżącym głosem poczciwy rolnik, myśląc o ukochanym bratanku.

— Zdaje mi się, że się domyślam, co chcesz powiedzieć, panie Ashton, — rzekł baronet, — ale obawy twoje są zbyteczne. Gdyby moja życzliwość dla Henryka miała się skończyć na kilku grzecznościach, kilkakrotnych zaproszeniach do zamku, byłoby to przesadzenie podobne temu o jakiem wspomniałeś. Ale moje zamiary względem niego nie na tem się ograniczają; przyjaźń moja otworzyła mu drogę, która, dzięki jego zdolnościom i wytrwałej woli, da mu sposób utrzymania się na stanowisku, jakie obecnie zajmuje w społeczeństwie.

Stary dzierżawca pokręcił głową.

— Czyś pan o mnie wątpił? — zapytał właściciel Carrowa.

— Nie powątpiewałem o twej dobroci, sir Williamie, ale o trafności w spostrzeżeniach! Istnieje niebezpieczeństwo, którego nie przewidywałeś pan zapewne, pomimo znakomitej mądrości twojej.

— Cóż to za niebezpieczeństwo? — zapytał baronet zadziwiony.

Tu właśnie był powód zakłopotania dla zacnego wieśniaka, aby rzecz wyjaśnić bez obrażenia dziedzica. Spuścił się tędy na poczciwość swojego serca, które go natchnęło do uczynienia tego kroku, i to go nie zawiodło.

— Pan zapominasz, że Henryk jest młody, — mówił włościanin z powagą. — Uczył się po grecku i mnóstwo innych rzeczy zupełnie tak, jakby był jednym z waszych, to jest, jakby stał z wami na równi co do urodzenia. Przypuść pan, żeby chłopiec spotkał w Opactwie młodą osobę, i zapominając o różnicy położenia, gdyby w niej złożył całe swoje przywiązanie, swoje nadzieje przyszłego szczęścia, jakieby ztąd wynikły następstwa? Zawód i nieszczęście dla niego; toby mu serce zakrwawiło, a mnie i mojej starej także! A teraz, — dodał wydając stłumione westchnienie, — spełniłem co do mnie należało, postąpiłem sobie jak człowiek uczciwy zrobić powinien; jeżeli mi to Henryk za złe weźmie tem gorzej.

Sir William przypatrywał się staremu z podziwieniem i uczuciem uszanowania. Ellena wspominała mu o swojej bytności w dworku i uprzejmem przyjęciu, jakiego doznała od starych dzierżawców. Nie tajnem mu było przywiązanie włościanina dla wychowanka, tem bardziej więc musiał ocenić ten krok jego, domyślając się, ile go kosztowało to usiłowanie, aby spełnić co uważał za swój obowiązek.

— Kobiety mojego dworu, — rzekł chcąc go jeszcze lepiej wybadać, — są wszystkie w podeszłych latach.

— O mój Boże! pomyślał przybyły, — trzebaż, aby do tego stopnia był ślepym!

— Nie ma się czego obawiać z tej strony, — dodał baronet.

— Z tej strony, — powtórzył kmieć, — bardzo temu wierzę, sir Williamie! Harry może sięgnąć wyżej jak do służebnic! Córka prawnika Impey, chociaż mają powóz dwukonny i pastucha w liberyi zamiast grooma, dużoby

za to dała, żeby się chciał z nią żenić! Ale nie z tej strony grozi niebezpieczeństwo.

— A w czemże tedy?

— W twej siostrzenicy, sir Williamie! Uważaj pan dobrze, nie mówię, żeby się już kochali ale mogliby się zakochać, bo młodość nie wiele dba o różnice, które ceni wiek starszy. I cóżby ztąd wynikło? Nieszczęście tylko!... Zrobiłem, com za powinność uważał, — dodał powstając z krzesła, — może zgruchotałem serce memu biednemu dziecku, ale musiałem to uczynić, czas teraz, abyś sobie przypomniał swój obowiązek, sir Williamie!

— Pamiętałem o nim, panie Ashton! — zawołał baronet ściskając jego rękę. — Nie jestem tak niebaczny jak sobie wyobrażałeś; od dawna już widziałem miłość twojego bratanka do mojej siostrzenicy!

— Już po wszystkiem, Harry nigdy mi tego nie daruje! — pomyślał Maciej i jęknął.

— I również miłość Elleny ku niemu, — ciągnął baronet dalej.

— Oszalał! — mruknął stary Ashton, — istotnie oszalał.

— A co większa, sprzyjam tej ich miłości. Jeżeli cokolwiek mogłoby wzmódz zadowolenie, jakiego doznawałem na myśl o tym związku, to pewno szlachetna rzetelność, jakiej pan dziś dałeś dowód. Postępek bratanka był godny ciebie; skoro się przekonał o swoich uczuciach dla mej siostrzenicy, pospieszył uwiadomić mnie o tem!

— Czy tak uczynił? Niech go Bóg błogosławi za to! — zawołał Maciej Ashton. — Jakiż ze mnie głupiec stary, żem mógł przypuścić, aby Harry mógł dopuścić się nagannego czynu... wolałby umrzeć!... Ale może pan ze mnie żartujesz, sir Williamie?— rzekł wpatrując się badawczo w oblicze możnego pana. — Sir William Mowbray, szczycący się najstarożytniejszym rodem w całem hrabstwie, miałby wydać swoją siostrzenicę za potomka jednego z swoich dzierżawców? To niepodobna!

— Dla czegoż nie? jeżeli ten młodzieniec okazał się godnym tego? Powtarzam raz jeszcze, że dałem moje zezwolenie; ale dla rozmaitych powodów pragnę, aby to przyrzeczenie pozostało w tajemnicy aż do powrotu twojego bratanka z podróży.

— Z jakiej podróży? — przemówił rolnik, któremu się już myśli plątały.

— Nie wspomnisz pan o tej rozmowie naszej?

— Czy Henrykowi?

— Nie masz potrzeby taić jej przed twoim bratankiem, ale nikomu innemu o tem nie mów, nawet twojej żonie.

Na ten raz dzierżawca przekonał się, że baronet nie tak oszalał, jak mu się z początku zdawało.

Przyszedł do Opactwa z sercem ściśnionem od niepokoju i strapienia, wyszedł z tą ulgą, jaką napełnia serce spełniony obowiązek uczciwości. To też wracając do domu, starzec pragnął gorąco uścisnąć bratanka, przeprosić go za obelgę w myśli wyrządzoną i widzieć go w towarzystwie Elleny.

— On nie nadmie się pychą! — mówił w duchu, — będzie nas często odwiedzał, nie wątpię o tem, że przyjdzie; nie przestanie nas kochać, bo u niego serce szlachetne i stałe... Może dożyję jeszcze tego szczęście, by jego dziatki bawić na kolanach... Ach! jakżem szczęśliwy, że się aż lękam, czy to jest prawdą! — dodał ocierając łzę z oka, — potrzebowałbym aby mi kto w oczy jaką rzucił klęskę, by mnie ocucił z upojenia.

Poczciwy człowiek nie przeczuwał wcale, tworząc to nierozważne życzenie, iż się takowe zbyt prędko ziści.

XXX.

Will Sideler, nadzorca królikarni, siedział w chacie zajęty starannem czyszczeniem swojej strzelby. Człowiek ten żylasty i silnie zbudowany, charakteru stanowczego, posiadał usposobienie ponure, które go zdolnym czyniło knuć swoje zamiary przez długi lat przeciąg, nim się zajął ich wykonaniem. Nie mógł nigdy darować baronetowi swej urazy za to, że go zrzucił z posady łowczego, chociaż powtórne przyjęcie go do służby, jako dozorcę królików, musiało położyć niejaką tamę jego niechęci.

Teraz przeczuwał, że wypadki sprzyjać mu będą w spełnieniu jego zamiarów mściwych. Jeszcze nie miał stanowczego planu, jak dokona tej zemsty, ale przewidywał, że się zbliża ta chwila, jak złowróżbna gwiazda. Gdy tak czyścił broń swoją, ruchy jego i cała fizyognomia zdradzały jakąś żywość i zadowolenie, które były niejako odbiciem czarnych i zbrodniczych myśli jego.

W tem drgnął, usłyszawszy stukanie do

drzwi chaty; podniósł głowę z zadziwieniem, bo rzadko się zdarzało, aby go kto odwiedził.

Stukanie zostało powtórzone.

— Któż tam? Wejdź! — zawołał zniecierpliwiony.

Podniesiono klamkę, i wszedł master Johnstone, zarządzca Carrow-Abbey.

Will Sideler wiedział, że ten starzec nie był mu życzliwym przyjacielem; swym humorem dzikim i niezgodliwym odstręczył już dawno każdego od siebie. Przyjął go więc z groźnem zmarszczeniem czoła. Chociaż gość nie miał jeszcze powodu obawiać się gwałtownego królikarza, z przezorności jednak wziął z sobą dwóch gajowych, mając zlecenie dosyć nieprzyjemne do spełnienia. Master Johnstone był to człowiek ostrożny.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ZŁOTÓWKA.

Powiastka.

Bruk był śliski, ściany domów mokre, z rynien i dachów woda kapała, a przecież słońce jasno świeciło nad Warszawą; bo działo się to w końcu Marca, i już pewno po raz dwudziesty zmieniała się w tym dniu pogoda.

Młody jakiś panicz w sutej czamarce stojąc oparty o filar na Miodowej ulicy przypatrywał się wystawionym rycinom i litografiom, a prawie naprzeciwko przy bramie dawnego pałacu biskupów krakowskich, chłopiec blady i wynędzniały, ubogo odziany, wyciągał jedną rękę do przechodzących, prosząc o jałmużnę a drugą jakby ze wstydu, twarz sobie zasłaniał. W tem przeszły koło bramy dwie kobiety; jedna miała piękny płaszcz szkocki, kapelusz aksamitny czarny z kwefem, i widać było, że ładna i młoda; druga w czarnej salopie na uczciwą pannę służącą wyglądała.

„Moja jedyna, pożycz mi pieniędzy — powiedziała panienka do służącej, obaczywszy biednego chłopca, nic nie mam przy sobie."

„I ja nie mam tylko złotówkę, a panna wie, że musimy wsiąść w pierwszą doroszkę i jechać na Elektoralną ulicę do owej pani."

„Moja droga, już pójdę piechotą a dajmy temu chłopcu, patrz jaki biedny!"

„I tak będziemy jeszcze miały kawał z Elektoralnej ulicy na koniec Leszna, i zabawimy się długo; pani będzie niespokojna."

„Jak proszę cię, nic nie mów a daj." — I złotówka dostała się w dłoń schudzoną biednego chłopca. Młody panicz jakimsiś trafem zwrócił był oczy swoje ze sklepu na stronę przeciwną, i widział z daleka tę całą scenę, lubo słów i głosu nie słyszał. Zajęła go dobroczynna panienka, ile że nóżka ładnie obuta, ubiór staranny, mile także przemawiały; przejść chciał na drugą stronę, ażeby przypatrzyć jej się lepiej, lecz właśnie kilka zebrało się powozów, i nim się rozjechały, już ani panienki ani jej służącej nie było, i choć młodzieniec wybiegł na Senatorską ulicę, dopatrzyć jej nie mógł.

Cokolwiek zły a przynajmniej nie kontent, zbliżył się do biednego chłopca, który jeszcze trzymał w ręku złotówkę, wziął mu ją, i dał na to miejsce dukata w złocie.

Spostrzegłszy tę zamianę chłopiec krzyknął radośnie: „Boże! Boże! jakaż opatrzność twoja; właśnie dwudziestu złotych nam trzeba do opłacenia półrocznej stancyi, już nas miał dziś gospodarz wyrzucić na ulicę, bo już drugi kwartał nam czeka. Mój chory ojciec byłby pewnie zamarł. Jaśnie Wielmożny pan życie ojcu wraca."

A to mówiąc tak był wzruszony, że aż o ścianę oprzeć się musiał.

„Czemże jest twój ojciec? moje dziecko, i dla czego tak biedni jesteście?"

„Mój ojciec był woziwodą: jeszcze w jesieni, w czasie pierwszych mrozów schodząc do Wisły upadł, i coś mu w krzyżu pękło. Od tego czasu nie wstał z łóżka; wóz i konik poszły do ludzi, Matki już dawno nie masz. Jam jeden przy nim. Dotąd łataliśmy biedę jako tako; usłużywszy ojcu robiłem sąsiadom, com mógł, nosiłem piasek, wodę, i przecież głodušmy nie marli; ale na komorne nie można było nic uzbierać — ojciec

już mnie dawno wyprawia w służbę, ale któż mnie weźmie bez bótów, bez koszuli; a takąbym miał ochotę iść w służbę, i zarobić co dla ojca. Żebrać nawet nie umiem i wstydzę się..."

Tu płakać zaczął.

„Gdyby twój ojciec na to przystał, wziąłbym cię do siebie, właśnie potrzebuję chłopca któryby ze mną jeździł konno i za powozem. Ale będziesz wierny i posłuszny?"

„O będę! byle tylko ojcu co z tego przyszło.

„Zaprowadźże mnie do ojca."

I poszli obadwa na Bednarską ulicę, gdzie w podwórzu w domu jednego stolarza mieszkał, a raczej leżał woziwoda kaleka. — Chętnie zezwolił na to, żeby Tomek syn jego poszedł w służbę do panicza, ucieszył się nawet tem mocno z razu, i dziękował mu błogosławiąc, ale wnet zamyślił się i powiedział: „Co ja tu stary i kaleka bez niego pocznę!"

„Gdybyś chciał — rzekł na to panicz — wkupiłbym cię do szpitala Ś. Kazimierza, tam chorym bardzo jest dobrze."

„Nie konieczniećto ludzie są za szpitalami, ale ja sam słyszałem, jakoby u Ś. Kazimierza lepiej było, niż gdzieindziej. — Jeśli łaska pańska, tobym już tam i poszedł."

Dobry panicz zajął się natychmiast umieszczeniem ojca i oporządzeniem syna; nie wyszło trzech dni, stary woziwoda lezał w wygodnem i czystem łóżku, i obiecywali mu doktorowie i siostry miłosierdzia, że będzie jeszcze mógł chodzić o swojej mocy, a Tomek w pięknym surducie piaskowym, w bótach z wyłogami i w kapeluszu okrągłym z czarną kokardą, patrzył tylko w oczy swemu panu, w czemby mu usłużyć i podobać się, i słuchał napomnień i nauk zasłużonego lokaja jego.

W parę tygodni jednego wieczora, kiedy zasłużony lokaj trochę był słaby, i Tomek sam pana rozbierał, zapytał go się panicz, czy kontent ze swojej służby?

„Ale jak! wypowiedzieć nie umiem. Wczora, jak pan wie, byłem u ojca; i on zdrowszy daleko, siostry takie dobre, tak go pilnują; kazał panu nogi uściskać i błogosławił go stokrotnie."

„A tobie na niczem nie zbywa?"

„Na niczem, panie, mam wszystkiego do sytości. Już tylko przed śmiercią jednejbym pragnął rzeczy?"

„Czego takiego?"

„Oto, żebym jeszcze kiedy obaczył tę dobrą panienkę, co mi tę złotówkę dała. Ona mojego szczęścia przyczyną, bo gdyby nie ona, panby mnie był nie obaczył. Pan ją zna zapewne? Przepraszam za śmiałość moją, że o to pytać się ważę."

„Nie znam wcale i nie poznałbym jej nawet choćbym zobaczył."

„O! jabym ją poznał i z twarzy i z głosu; tak mile do tej statecznej pani mówiła! — Muszę dać z zasług moich na mszę do Pana Jezusa, to może ją gdzie zdybiemy."

Pochwalił tę intencyą panicz, i mimowolnie złożył także życzenie, aby wysłuchaną została. Ale nie zanosiło się na to, ile że wnet zabrawszy Tomka, rzucił Warszawę i pojechał do wioski swojej w Krakowskie.

II.

Dobra panienka ze swoją panną służącą właśnie wychodziła z Orlej ulicy na Leszno, i spieszyła się bardzo, kiedy zawróciła w tęż stronę pędem jadąca kareta, czterema końmi pocztowemi zaprzężona, tak nagle że ledwie umknąć się z drogi potrafiły. — Przelęknione i zmęczone doszły nareszcie do domu, i zaraz na wstępie usłyszały wymówki matki:

„Jak też można było tak długo się bawić! od godziny wrócić należało. — A tak byłaś tu potrzebna Amelko!.. Kto wie — dodała wprowadzając córkę do swego gabinetu — kto wie, może tem spóźnieniem szczęście całego życia straciłaś." — „O Mamo! nie zdaje mi się, bo żeby mama wiedziała, dla czegom się spóźniła..." I opowiedziała matce przygodę z biednym chłopcem. „Wszystko to pięknie i dobrze — odpowiedziała matka — ale tymczasem twój kuzyn Gustaw był u nas." „Gustaw z Wiednia! A czy to nie on pędził dopiero pocztą? Zkądże się tu wziął?" „Nie ma pięciu minut, jak pojechał dalej; wysłany kuryerem do Petersburga, godziny w Warszawie nie bawił, i bardzo grzecznie z jego strony, że mimo tego o ciotce nie zapomniał. Dopytywał się mocno o ciebie, odżałować nie mogę, że cię nie zastał. Wiesz dobrze, iż w nim cała moja nadzieja twego przyszłego losu. A prawie cię nie zna. Oj nieszczęśliwe spóźnienie!"

„Zobaczy mama, że nie wyjdzie mi na złe. Mam takie przeczucie."

„Daj Boże! jednak wolałabym, gdyby cię był widział. — Tak ci ładnie w tym kapeluszu z tym rumieńcem." — I zamyśliła się matka. — Wdową będąc po wysokim urzędniku, dziś

prawie uboga, troski swoje nad przyszłością jedynej córki koiła myślą dawno ułożonego jej małżeństwa z synem siostry swojej z owym Gustawem, który znaczny posiadał majątek, i postępował wielkim krokiem na drodze łask i urzędów. — Amelii nie uśmiechały się tyle te widoki, a raczej mało niemi zajęta była. Gustaw nie chował się w kraju, piętnaście lat był od niej starszy, widziała go parę razy dzieckiem będąc, i nic w tem dziwnego, że jej zupełnie był obojętny.

III.

Trzy miesiące potem, matka Amelii siedziała znowu w swoim gabinecie, już teraz nie tylko zamyślona ale zapłakana była. List otwarty leżał przed nią — Wbiegła na to Amelia i strwożyła się mocno obaczywszy łzy matki.

„Mamo! cóż takiego się stało! czy wiedzieć mogę?"

„Nie tylko możesz, ale trzeba, żebyś wiedziała. Oto list Gustawa; żeni się ale nie z tobą; majątek i piękność jakiejś Angielki go ujęły, pisze do mnie z prośbą, żebym go uwolniła od danego niegdyś słowa; i bardzo na to nastaje: iż kuzynka żalu do niego mieć nie może, kiedy nie miał szczęścia widzenia jej od lat siedmiu i nie zna ją tylko dzieckiem. Widzisz, moje przeczucie było lepsze od twego, nie wyszło ci na dobre owo spóźnienie."

„Kto to jeszcze może wiedzieć, moja kochana mamo? Ale trzeba odpisać jak najprędzej Gustawowi, i niech mu mama dobrze powie, że najmniejszego żalu do niego nie mam. Szkoda tylko, że z cudzoziemką się żeni, i że mama płacze."

„Jak płakać nie mam, moje dziecię, widzę cię pozbawioną losu, a z taką pewnością na to liczyłam."

„Widać że już mamie zawadzam, kiedy chce się mnie pozbyć tak prędko i koniecznie. Moja mamo, cóż nam tak bardzo złego, przecież biedy nie znamy, a jesteśmy razem. Coby mi tam było po tych bogactwach i honorach, gdyby dla nich trzeba było mamę porzucić. Dopiero mam lat siedmnaście, jeszcze poczekać mogę."

A takiemi i podobnemi słowy ukoiła wnet Amelka żal matki, sama zaś swobodniejsza niż kiedy namówiła ją, aby pójść wieczorem na most, użyć przechadzki.

IV.

Była to wigilia S. Jana, Sławiański i odwieczny zachowując zwyczaj mieszkańcy Warszawy cisnęli się na most. Mała cząstka biegła badać przyszłości i rzucać wianki, ale szli jedni dla tego, żeby przypatrywać się drugim, szli drudzy, żeby być widzianymi, inni jeszcze, jak Amelia z matką, szli ażeby rozerwać się i odetchnąć świeżem powietrzem po dniu bardzo gorącym. Święto-Jańskie interesa zwabiły i z dalekich okolic osób nie mało, a między powozami stojącemi z obu stron koło mostu, był lekki koczyk podróżny, z którego był wysiadł dopiero co młody panicz w czamarce. Chłopiec porządnie ubrany słuchał właśnie jego rozkazów względem powozu i koni, kiedy odbiły się o jego uszy te słowa: „Ostrożnie, mamo!" a wnet chwytając pana swego za rękę szepnął mu do ucha: „To jej głos, to ona," — Młodzieniec obejrzał się, nie dokończył już rozkazów swoich, i przez cały czas rzucania wianków chodził nieznacznie za dobrą panienką i za jej matką. — Spotkawszy na moście kilku znajomych dowiedział się wnet kto była, same pochwały jej słysząc, widząc starania koło matki, ubiór schludny i gustowny, ułożenie skromne, wnet zapragnął wprowadzonym być do ich domu; a po kilku miesiącach bywania uzyskawszy wzajemność młodej Amelii oświadczył się o jej rękę. Wprawdzie nie był on ani w jednej części tak bogaty jak Gustaw; miał tylko jedną wieś w Krakowskiem, i żadnej nadziei urzędów ani godności. Przecież i matka Amelii poznawszy jego charakter i sposób myślenia, powierzyła mu z chęcią szczęście córki.

W dzień ślubu, który w dzień Trzech Króli miał się odbyć, kiedy Amelia skończywszy ubranie weszła do pokoju bawialnego, gdzie tylko najbliżsi krewni się znajdowali, jedna z poważnych matron zapytała się misternie: „A pieniądz ślubny czy jest?" — „Ach zapomniałam" — odpowiedziała matka. „To ja się o niego postaram!" — zawołał pan młody, i to mówiąc wybiegł z pokoju. — Wnet wrócił prowadząc chłopca bardzo licho ubranego, który wyciągnął rękę, i w niej była złotówka. Stanęli oba przed zdziwioną Amelią, a wdzięczny Tomek powiedział: „Niech to będzie wasz pieniądz ślubny, lepszy on od dukata bo pewno szczęście wam przyniesie." — Widząc to rumiana i szczęśliwa Amelia domyśliła się wszystkiego i rzuciła się matce na szyję mówią: „A co, czy nie wyszło mi na dobre owo spóźnienie,"

TANIE LECZENIE DOMOWE ROZMAITYCH CHORÓB

(Ciąg dalszy.)

Choroby,
które ten plaster leczy.

1. Migrenę t. j. nieustający ból głowy; w tym przypadku przykłada się ten plaster idąc spać na wierzch włosów na cały tył głowy i szyi, i odnawia go, dopókąd wilgoć naciągać będzie; włosom to wcale nie szkodzi. Gdy już świeży plaster na świeżej irsze okaże się suchym, tedy zostawić go, aż sam odpadnie po dwóch lub trzech tygodniach, poczem nastąpi zupełne uzdrowienie.

2. Ślepota i ciemnota. W tym przypadku postępuje się tak, jak na ból głowy, tylko z tą różnicą, że oprócz na głowie przykłada się znaczny plaster w tyle na karku, także małe plasterki na skroniach. Te małe plasterki na skroniach winne być przez kilka tygodni przykładane. A gdy oczy są zaognione i ropiące, tedy przykładają się małe plasterki na same oczy, lecz co parę godzin trzeba je zmieniać.

3 Głuchota. Na ten defekt tak się plastru używa, jak na ślepotę, tylko że tutaj jeden tylko plaster zakończa leczenie.

4. Reumatyzm. Na chore części ciała przykłada się tak wielki plaster, jak jest bolące ciało i nie odejmuje się przez kilkanaście dni.

5. Ruptura. Przyłożony ten plaster z dobrem podwiązaniem, uzdrawia niezawodnie.

6. Spazmy, wewnętrzne kurcze. W tej słabości należy przyłożyć plaster, idąc spać, na piersi na dołyszku i na cały brzuch, a za dwie godziny chory uczuje folgę; lecz jak plaster odwilgnie, że już się nie trzyma ciała, tedy należy przyłożyć świeży. Czasem pierwszy trzyma się kilka dni.

7. Paraliż. W takim przypadku, gdy osłabnie język, jak najprędzej puszcza się krew, potem przykłada się ten plaster grubo roztarty do pulsów po tej stronie, którą paraliż naruszył, i także na tył głowy. Przez półtorej godziny chory wyzdrowieje i więcej tego przypadku mieć nie będzie.

8. Odrętwiałe członki z różnych przyczyn Chore takie członki za przyłożeniem tego plastru na nie, od sześciu do dwudziestu dwóch dni bywają zupełnie wyleczone.

9. Łamanie w kościach, ból w różnych członkach, kontrakcyą żył i nerwów powstałe z niewiadomych przyczyn, uleczyć można przez sute przyłożenie tego plastru na chore części, przy kilkorazowem odswieżaniu.

10. Żółtaczka, za przyłożeniem tego plastru do tyłu głowy, do piersi i do brzucha, w krótkim czasie ustępuje.

11. Gonagra, jestto ból w kolankach; jeźli zaraz w początku tej choroby plaster ten przyłożonym będzie, ból ustanie w pięć lub sześć dni; lecz jeżeli kto tę słabość cierpi od dawniejszego czasu, chodzić nie może i tylko łóżka pilnuje, w takim przypadku, przyłożywszy plaster do nogi, na drugi dzień w boleści uczuje folgę, a odmieniając go tak długo, aż już nie będzie wilgotnieć, pozyska zupełne uzdrowienie; jednak nie pierwej, jak w sześć lub siedm tygodni. Wtedy sam plaster odpadnie.

12. Chiragra albo Scyatyka czyli boleść w rękach i łopatkach; tu należy używać plastru równym sposobem jak w gonagrze.

13. Hemoroidy. W tej boleści należy plaster położyć na paśnicy t. j. gdzie się pas nosi, szeroki na 4 palce a długi, iżby zasięgał aż ku brzuchowi, z tasiemkami, aby można na brzuchu zawiązać; ircha w tym pasie do plastru użyta nie ma być bardzo cienką, aby się sztywno ciała trzymała.

Takowy plaster ma być tak długo noszony, aż sam nie odpadnie, choćby i 4 tygodnie. A jeźliby takowy za prędko od ciała odpadał dla zbytniego zwilżenia, tedy należy na nowej irsze świeży plaster przygotować, a stary odejmując, natychmiast świeży przyłożyć. Koniecznie należy popijać herbatę rumiankową, a wędzonki i wszelkich rozpalających trunków się wystrzegać. A jeśli szyszki w sedesie, tedy drugi plaster do nich przyłóż, ale tak, żeby dobrze do nich przylegał. Następnego poranku, gdy plaster od sedesu odpadnie, zaraz należy przykładać przez cztery dni, w którymto czasie szyszki nieznacznie zginą, chory ozdrowieje, a już więcej plastru nie potrzeba przykładać. Na paśnicy zaś nosić ten plaster do czterech tygodni, aż sam odpadnie od ciała, wszystkie ostre i zepsute soki lub humory wyciągnąwszy z kości grzbietowej, poczem ta niemoc już więcej nie wraca.

14. Apostema, oberwanie, lub też różne gatunki wrzodów i wrzodzienie, plaster ten wyciąga i goi.

15. Ciężkość i duszność w piersiach, z różnych przyczyn pochodząca, za przyłożeniem tego plastru na piersi, w kilku dniach całkiem ustaje.

16. Róża. Ta uleczoną bywa bez najmniejszego bólu w każdym czasie, przez przyłożenie tego plastru na chorą część i tył głowy.

17. Gangrena. Zarażone gangreną członki, których amputowanie t. j. odcięcie lekarze już zadecydowali, aż przyłożeniem tego plastru już na drugi dzień przestanie być niebezpieczną. A przez pilną kontynuacyą odmieniania i dodawania na nowej irsze świeżego plastru, stósując się do jego operacyi, w kilku dniach chory zupełnie wyzdrowieje.

18. Złamanie kości. Gdy takowe przez biegłego są dobrze uszykowane, trzeba tego plastru grubo na irsze rozetrzeć, na kość przyłożyć, bandażami opatrzyć, według potrzeby przyłożyć świeży plaster, a w kilka dni zupełnie i dokładnie cała kość uleczoną zostaje.

19. Zanokcica, zwyczajnie zwana zkancerowaniem, w dwa lub trzy dni zupełnie wylecza się, gdy na noc ten plaster na nią się przykłada.

20. Odciski i brodawki. Ból z otwardziałych odcisków na nogach ustaje za przyłożeniem tego plastru i trzymaniem go, dopóki nie odpadnie. W niedługim czasie odciski i brodawki ze wszystkiem wykorzenione zostaną na zawsze.

(Dalszy ciąg nastąpi.)